

Na to z całego serca zgoda. ale Kasprowicz często nie jest wiernym swemu zadaniu. Pokutuje w nim duch Shelleya i czasem prowadzi jego pióro a wówczas wychodzą z pod niego abstrakcyjne mgłne i smętne, postacie bez krwi i ciała, fantazyje i allegorye mgliste i nienowe. Dowodem choćby wiersz: Giordano Bruno. Temat przepysny — co z niego zrobił autor? Zapomnijmy, że krzywdzi język i formę dla myśli a czasem i dla rymu, zapomnijmy o metaforach, które n. p. Stwórcy każą kryć się »w porannej zorzy rubinowe włosy«. Czy mamy w tym wierszu to czas, stworzone dla poety-malarza? czy mamy tragedję walk i cierpien Brunona, będącą kopalią dla dramaturga i psychologa? czy mamy pasmo idei, któreby umiał wyzyskać poeta-filozof, albo obraz śmierci męczennika — wspaniały dla bojownika-poety? Nic z tego wszystkiego! Kasprowicz rzucił nam tylko splot rozumowań ciemnych i chaotycznych, w których nie ma Brunona, ni jego systemu ani prawdziwej poezji.

To samo da się powiedzieć o większej części poezji kontemplacyjnych. Czasem uderza w nich blask, siła albo obraz piękny, ale te zalety toną w mgłach ciemnych. I temata biblijne nie lepiej się prezentują, ani erotyki. Łagodny liryzm, lekkość formy, prostota i naiwność nie leżą pono w zakresie talentu Kasprowicza. Zauważyć jeszcze należy, iż pierwsze jego utwory niejednokrotnie przypominają wielkich naszych mistrzów, że forma w nich często chropawa, a język twardy, nieposłuszny wymaganiom piękna, a nieraz — i gramatyki (germanizmów tu sporo).

Inaczej poeta się przedstawia, gdy z za obłoków metafizyki schodzi na biedną naszą ziemię. Zna on tę ziemię, kocha ją i rozumie, a uczucia te umie uplastyczyć, wyrazić i przełać w czytelnika — często po mistrzowsku. Owieczne ideały walczącej ludzkości: wolność, równość, braterstwo; pragnienia ujarzmionego narodu, trzymanego przez ciemigłców żywem w trumnie; krzywdy, bóle, nadzieje milionowych mas, marniejących z ciemnoty i głodu; serdeczne hasła młodzieży polskiej, chcącej sprawiedliwości w społeczeństwie, nauki i ideałów dla umysłu i wolnego powietrza, choćby gwałtownie miała rozbić otaczającą ją skorupę — te uczucia, te aspiracje znalazły w Kasprowiczu potężnego, dzielnego barda.

Ożywione tym duchem poezje »Z padółu walki«, »Z więzienia« i w. i., wulkanicznym uczuciem, świetnym obrazowaniem i wspaniałością szlachetnych, a zawsze postępowych, zawsze demokratycznych myśli — wstrząsające robią wrażenia, a cykl »Z chałupy« należy pod względem ducha, treści jakoteż i formy do najoryginalniejszych i najwyższych utworów naszej poezji.

O nich to myślał T. T. Jeż pisząc w przedmowie do autora: »Wy, kochany panie wśród poetów naszych współczesnych zjawicie się z fizyognomią odrębną, z indywidualizmem rzekomo zaznaczonym i własnym, z wypiętnowanym na czole Waszem dowodem, że źródło kastalskie w Polsce nie wyschło«. Istotnie tak jak Kasprowicz nikt dotąd w poezji nie znalazł, nie przenikał i nie obrazował chłopca. Czytelnikowi mogą się twory te wydać dziwnymi, dziwni po prostu: szczególnie ostatnie, drukowane w »Głosie« i »Przeglądzie tygodniowym« — ale czytawszy się w nie głębiej, podeptawszy szkolarskie regułki »o pięknie«, »o istocie poezji« i odrzuciwszy uprzedzenie swe kastowe lub religijne — dostrzeże w nich nowy rodzaj w literaturze naszej: poezję chłopską. Nie owa »ludowa«, liryczna lub dekoracyjna, gładko ociosana i wyperfumowana tanimi pachnidłami wiejskimi, nadziana oklepanymi wykrzykami, tylko prawdziwie chłopiska, jaskrawa, krewka, jedrna a świeża a chłobra.

Cykl »Z chałupy« zawiera w formie sonetów szereg przepysnych obrazków rodzajowych, a ostatnie prace Kasprowicza uderzają szczególnie tonem, kolorytem i sposobem myślenia, chłopu wprost z duszy wyjętym. Jaka zaś myśl z Kasprowicza przyswieca, jaka rzeźwość i potęga życiowa po pospolitych u nas kwileniach na nutę salonowego pesymizmu i rozstroju nerwowego; co za kierunek w porównaniu z wylizanymi wierszoborami, kużywami swe rymy dla pensjonarek, z artystami, tworzącymi li tylko dla smakoszy estetycznych, lub z »rymarzami«, smażącymi w sosie poetyckim artykuły gazeciarskie — niech wskaże choćby ustęp następujący:

... . głowy w górę!  
 Czas się wygrzebać z trosk koryta,  
 Duch oskrzydłony wznieść nad chmurę,  
 Gdzie złotem blasków słońce wita.  
 Jest w ludzie siła niespożyta,  
 Zbawienie leży pod siemięgą.  
 Jak ta w popiele skra ukryta.  
 Choćby ostatnią płuc potęgą  
 Dmuchajmy w tę ikrę, aż łun spłonie wstęgą.

W. Feldman.

## KORESPONDENCYE.

Kraków. Marzec 1889.

Podczas gdy młodzież lwowska przedstawia w tej chwili kociół, w którym „buczy i wre i kipi i pryska“ — nasze krakowskie społeczeństwo akademickie porównać by można ze spokojnym jeziorkiem, którego powierzchnia, zielonym szlamem pokrytej, najdrobniejsza nie marszczy fala. Życie nasze ogranicza się do wegetowania — duch z niego uleciał, gdzieś się zapodział, zginął. Łaskawy znalazca raczy się z nim zgłosić do „Czytelnicy Akademickiej“, która statutem swoim ma sobie wytknięte, jako cel główny „rozbudzanie życia umysłowego wśród członków“, a która w obecnej fazie swego istnienia, wygląda na „stowarzyszenie braci śpiących.“ Odezwał się wprawdzie niedawno w jej murach głos silny i śmiały, który zapowiadał, że nowego w nią technię ducha. Kol. Jachymiak, obejmując w swe dłonie ster czytelnianej nawy, w programowej mowie przyobieczał nam wstrzymanie się od nadmiernych występów na zewnątrz, skupienie sił na wewnątrz i skierowanie ich do pracy nad rozwojem intelektualnym. Z pierwszej części tego programu wywiązał się kol. prezes w sposób przechodzący najśmielsze nasze nadzieje; uściślił się z tego zobowiązania nawet w wypadkach, w których zupełnie tego spodziewać się i żądać nie mogliśmy (wieczorek Kraszewskiego); — na czyny i fakty w kierunku zrealizowania drugiej części programu zmierzające, dotychczas czekamy, jeżeli nie uznamy za usiłowanie rozniecenia większego światła w „Czytelnicy“, zamiaru zaprowadzenia w niej oświetlenia gazowego, chociaż i ten nie wyszedł jeszcze ze sfery projektów. Nie przesądzamy jeszcze wyników działalności kolegi Jachymiak, konstatujemy tylko fakt, że wywiąawszy się świetnie z negatywnej strony swego programu, do pracy nad pozytywną — jeszcze nie przystąpił. Rozumiemy to dobrze, że owo „rozbudzenie ruchu umysłowego“ w „Czytelnicy“ wymaga pracy olbrzymiej, jest problemem nie wiele łatwiejszym, jak rozwiązanie kwadratury koła, pogodzenie narodowości w Austrii, lub wynalezienie perpetuum mobile. Wiemy, że absurdem jest wymagać od jednego człowieka, ażeby za jego sprawą, w kilkuset mózgownicach naraz myśl zahypnotyzowana się ocknęła i zatętniło życie uśpione, ale czego domagać się możemy od kol. Jachymiak na podstawie jego obietnic, to stworzenia takich warunków i stosunków, wśród których jakiś ruch umysłowy, jakaś praca nad pojęciami, wymiana zdań i myśli, byłaby dla jednostek garnących się do niej, możliwą. Tymczasem w takim środowisku moralnem, jakim jest obecnie „Czytelnia“, brak się czuć daje dotkliwy najprostszych i najniezbędniejszych pierwiastków wszelkiego życia umysłowego, bo jakżeż może ono się rozwijać przy zupełnym braku książek i przy najwładniejszej organizacji kółek naukowych? Biblioteka „Czytelnicy“ (prawdziwy lucus a non lucendo) i nasze wszystkie kółka, oto grunt, który naprzód z największą energią wykarczować powinien, kto pragnie aby „Czytelnia“ przestała wreszcie być miejscem, „gdzie ducha sen ma łożyć swoje“ — i kto kolegom przyrzekł dla tej myśli pracować i działać.

Z życia tej części młodzieży, która poza „Czytelnia“ stoi, mamy do zanotowania fakt bardzo dla naszych stosunków znamienity i charakterystyczny: powstanie nowego stowarzyszenia akademickiego, „Kółka katolików“, zgrupowanego pod egidę ks. S. Zwracamy